CZWARTEK
NR 13 31.I.1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Z KOSMOSU... DO MUZEUM

(Inf. wł.). Miła uroczystość odbyła się niedawno w Stołecznym Muzeum Wojska Polskiego. Ppłk Mirosław Hermaszewski przekazał do zbiorów kilkanaście przedmiotów związanych z jego lotem kosmicznym. Tworzą one stałą ekspozycję muzealną pt. „Pierwszy Polak w kosmosie". Zwiedzający mogą m. in. obejrzeć część osobistego wyposażenia kosmonauty np. strój przeznaczony do pracy na stacji orbitalnej, specjalny hydrokombinezon przygotowany na wypadek nieprzewidzianego lądowania na morzu. Prezentowane są także urządzenia polskiej konstrukcji, które zainstalowane zostały na pokładzie zespołu orbitalnego: kardiolider służący do testowego badania natężenia pracy serca oraz podzespoły wykorzystywane w eksperymentach krystalizacji materiałów półprzewodnikowych w warunkach stanu nieważkości. W muzealnych gablotach wyłożono również m. in. miniaturowe wydania Manifestu Komunistycznego i Konstytucji PRL oraz faksymile dziewiątej strony dzieła Mikołaja Kopernika „O obrotach ciał niebieskich". Ppłk Mirosław Hermaszewski zabrał je ze sobą startując do swojego lotu kosmicznego. **(kp)**

Fot. **Marek Szymański**

Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji w Warszawie oraz tygodnik dla dzieci „Sedmička pionyru" organizują

WIELKI KONKURS DLA MŁODYCH FOTOGRAFÓW

Główną nagrodą czterodniowy pobyt w Pradze

Warunkiem udziału w konkursie jest własnoręczne wykonanie zdjęć przedstawiających dzieci podczas zabawy, przy pracy w szkole i organizacji harcerskiej, na wycieczkach, w domu, w gronie rodzinnym oraz innych podobnych sytuacjach. **Fotografie o formacie 18 × 24, ewentualnie 13 × 18 nadsyłajcie do dnia 31 marca br. na adres: Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji, ul. Marszałkowska 77/79 – 00-683 Warszawa.** Pamiętajcie koniecznie o podaniu swojego imienia i nazwiska, wieku oraz dokładnego adresu.

Konkurs przeznaczony jest dla młodzieży w wieku 12–15 lat. Rozgrywany będzie w dwóch kategoriach wiekowych: I od 12 do 13 lat, II od 14 do 15 lat. Zwycięzcy każdej kategorii wiekowej wyjadą latem tego roku na czterodniową wycieczkę do Pragi. Kolejnych 20 uczestników konkursu otrzyma nagrody rzeczowe ufundowane przez Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji w Warszawie. Wyniki zostaną ogłoszone w Międzynarodowym Dniu Dziecka – 1 czerwca 1980 roku.

Najlepsze prace będą potem eksponowane w ośrodkach: czechosłowackim w Warszawie i polskim w Pradze. W podobnym konkursie wezmą udział również Wasi czechosłowaccy koledzy, którzy rywalizować będą o główną nagrodę, czterodniowy pobyt w Warszawie.

Pamiętajcie! Termin nadsyłania prac mija 31 marca 1980 r.

HARCERZE BUDUJĄ „DAR MŁODZIEŻY"

STARACHOWICE (HSI). Przez ostatnie dwa miesiące minionego roku trwała zorganizowana przez starachowickich harcerzy, zbiórka makulatury. Ogółem zgromadzono ponad 5 ton tego surowca przeznaczonego do powtórnej przeróbki. W akcji tej wyróżnili się druhowie ze Szkół Podstawowych nr 12, 9, 5, 1.

Część uzyskanych ze sprzedaży makulatury pieniędzy – kwotę 1 400 zł. – Komenda Hufca ZHP przekazała na konto budowy „Daru Młodzieży". (aw)

Na razie – w Holandii...

W PIĘĆ DNI MOŻNA POSTAWIĆ DOM JEDNORODZINNY

HOLANDIA (PAI). Tutejsza firma „Technisch Handelsbureau Bernardy" sprzedaje komplety złożone ze stalowych szkieletów i znormalizowanych płyt ściennych, z których można budować różne pomieszczenia mieszkalne, biurowe, szkolne, magazyny. Standardowe płyty nadają się również do pokrycia dachu. Ich zewnętrzne powierzchnie są pokryte wodoodporną powłoką dekoracyjną w różnych kolorach – klient może je sobie wybierać. Ustawiona z tych płyt konstrukcja jest odporna na upały, silne wiatry i wstrząsy. Dom jednorodzinny można z nich postawić w pięć dni, osiągając przy tym taki rozkład pomieszczeń, jaki się mieszkańcom szczególnie spodoba. Firma dostarcza też obiekty z pełnym wyposażeniem – a więc z oświetleniem, urządzeniami sanitarnymi i ogrzewczymi.

(tok)

WYCIECZKA W NIEZNANE

Foto-reportaż Wojciecha Wróblewskiego str. 5

PTAKOM I ZWIERZYNIE DOBRZE JEST W TYMOWEJ

Cała nasza VI klasa należy do LOP. Wykonujemy różne zadania związane z ochroną przyrody. Teraz chcemy opisać akcję dokarmiania zwierząt, którą uroczyście rozpoczęliśmy 20 grudnia. W tym dniu wyruszyliśmy do parku, aby założyć ptasią stołówkę i remizę dla zwierząt. Odczytany został apel ze „Świata Młodych" o rozpoczęciu akcji, po czym sekcje LOP wyruszyły z paśnikami, karmnikami i karmą. W parku spotkaliśmy się z leśniczym, (co było wcześniej umówione), który przekazał nam paśniki dla saren i opowiedział gawędę o zwierzętach. My zadaliśmy mu wiele pytań. Pierwszą część spotkania zakończyliśmy wspólnym zdjęciem. Następnie wyruszyliśmy pod okazały dąb od południowej strony parku. Wokół tego wspaniałego dębu, pamiętającego dawne czasy pozakładaliśmy karmniki i wyłożyliśmy karmę. Czegóż tam nie było – marchewki, siano, owies, słoneczniki i łój dla sikorek. Słoninkę porozwieszaliśmy na kolorowych nitkach. Dla kuropatw i bażantów wysypaliśmy żyto, pszenicę, owies, len.

Trzecią ptasią „stołówkę" – karmniki i „domek heski" założyliśmy tuż za szkołą nad rzeką, wśród krzewów. Robiliśmy to z drugim panem leśniczym. Na drugi dzień śnieg przysypał nasze rozległe pola, a do ptasiej stołówki zlecieli się liczni goście.

Uczennice i uczniowie VI kl. w Tymowej

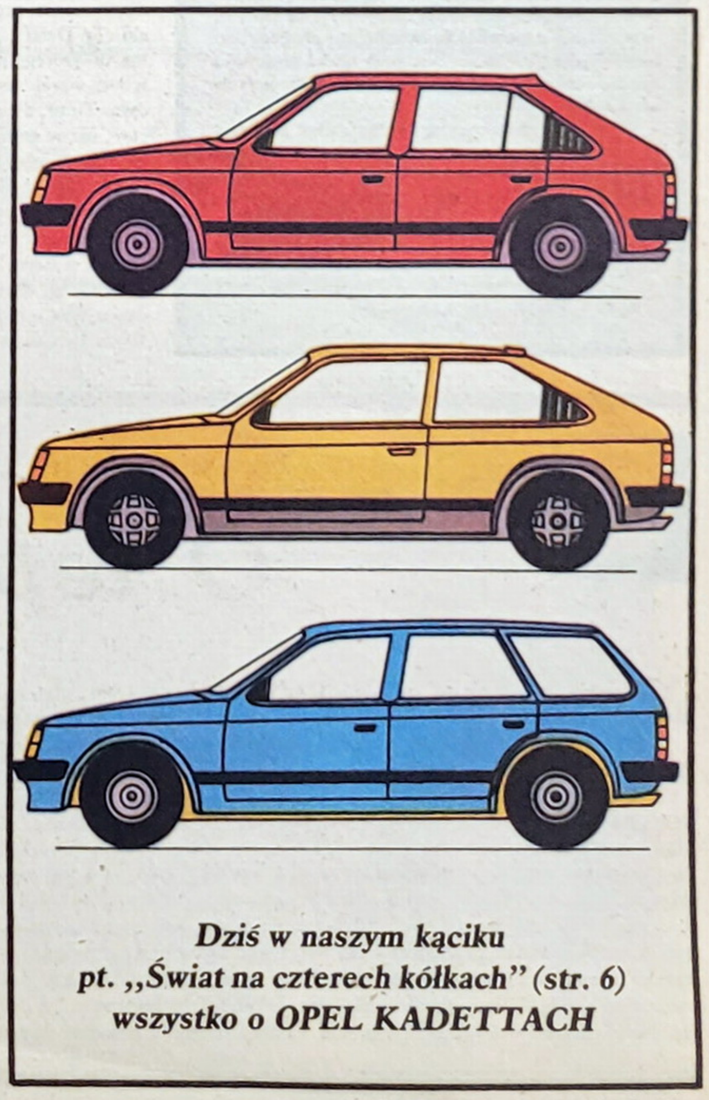

Dziś w naszym kąciku pt. „Świat na czterech kółkach" (str. 6) wszystko o OPEL KADETTACH

O tym warto wiedzieć

„ZGODA" DOSTAWCĄ RZEMYSŁU OKRĘTOWEGO

(ZPO) Wszyscy w Polsce używają tego skrótu. Mówi się zwykle „Zgoda", choć pełna nazwa brzmi: Zakłady Urządzeń Technicznych „Zgoda" w Świętochłowicach. Bardzo to ważny dostawca dla przemysłu okrętowego, bowiem bez jego produktów wiele statków nie mogłoby opuścić w ogóle stoczni. „Zgoda" od prawie 41 lat produkuje „serca okrętowe". Piszemy od czterdziestu jeden lat, bo pierwszą maszynę parową do napędu statku wyprodukowano w 1938 roku. Było to urządzenie LES7 o mocy 800 KM, przeznaczone na pierwszy, budowany przed wojną w Stoczni Gdyńskiej statek-parowiec „Olza".

Produkcję maszyn parowych podjęto ponownie w „Zgodzie" po drugiej wojnie światowej. Produkowane wówczas parowe maszyny tłokowe o mocy od 1100 KM do 2500 KM instalowano na rudowęglowcach z serii „Sołdek", węglowcach B-31, parowych bazach śledziowych typu „Siewierodwińsk". Musiała to być solidna produkcja, jeżeli po 30 latach od chwili montażu zdaje jeszcze egzamin w surowych warunkach morskich. W ubiegłym roku rodowęglowiec „Sołdek" zawinął do Stoczni Gdańskiej na uroczystości trzydziestolecia swego wodowania. Oprowadzając dziennikarzy po „staruszku", kapitan statku wystawił jak najlepsze świadectwo świętochłowickiej „Zgodzie". Maszyn parowych do napędu statków nie produkuje świętochłowicki zakład już od dawna. Tendencje w latach sześćdziesiątych do przechodzenia na napęd spalinowy w budownictwie okrętowym postawiły przed załogą „Zgody" trudny dylemat. Na szczęście okres wahań trwał bardzo krótko, bo już w 1956 roku zawarto umowę licencyjną ze szwajcarską firmą „Sulzer" na produkcję silników wysokoprężnych.

Warto przypomnieć ten okres w naszym przemyśle okrętowym. Rozpoczyna się wówczas w polskich stoczniach prawdziwa rewolucja. Wielkoprzemysłowa budowa coraz nowocześniejszych i bardzo skomplikowanych statków wymaga nowoczesnych napędów. Jak wynika z pobieżnego rachunku, prawie 20 procent wartości statku stanowi silnik główny. Kraj nie ma zbyt wielu wolnych środków dewizowych na zakup silników okrętowych, a jedyny ich producent w kraju – Zakłady „Cegielskiego" w Poznaniu nie są w stanie dostarczyć żądanej ilości. O trzecim producencie napędów, Zakładzie Budowy Silników Okrętowych Stoczni Gdańskiej, zacznie być głośno dopiero w 1959 roku. Tak więc rozpoczęcie produkcji silników w Świętochłowicach na licencji Sulzera zapełniło dotkliwą lukę w zapotrzebowaniu polskiego okrętownictwa na silniki średniej mocy.

W 1972 roku, w oparciu o nową umowę licencyjną z Sulzerem, uruchomiono produkcję nowoczesnych silników średnioobrotowych. Ta nowoczesna konstrukcja postawiła „Zgodę" w rzędzie producentów silników okrętowych uznawanych za najpoważniejszych na świecie. „Zgoda" wraz z silnikiem dostarcza także aparaturę zdalnego sterowania. Automatyka siłowni praktycznie zapewnia bezwachtową obsługę, co ma niebagatelne znaczenie przy coraz mniejszej liczbie załóg, jakie spotyka się na współczesnych statkach.

W tym miejscu można byłoby zadać pytanie, w jakim kierunku w przyszłości rozwijać się będzie produkcja silników w „Zgodzie"? Chodzi głównie o przystosowanie do pracy na paliwach przyszłościowych. Czy to się uda? W dotychczasowej swojej historii, a mija już prawie 100 lat od momentu powstania Zakładów Urządzeń Technicznych w Świętochłowicach, załoga radziła sobie nie z takimi zadaniami. (jk)

„Świat Młodych" jest pismem tak bliskim młodzieży, jej problemom, sukcesom i kłopotom, że trudno wprost o bliższe jeszcze związki. Taka jest po prostu racja istnienia naszej gazety, taki jest program jej działania. Piszemy więc często i o szkole, a bywa tak, że nie zawsze najlepiej. Bo przecież nie jest ona idealna, a zawsze w rozwoju, zawsze na drodze doskonalenia metod i środków. Zrozumiałe, że często też zdarza nam się pisać o nauczycielach – o tych, od których zależy wszystko, ponieważ każda szkoła jest tylko tak dobra, jak dobrzy są pracujący w niej pedagodzy. Szanujemy, podziwiamy tych ludzi i nieraz dajemy swemu uznaniu wyraz nie czekając Dnia Nauczyciela. Ale też, czując się rzecznikami naszych Czytelników, często podejmujemy działania w ich obronie.

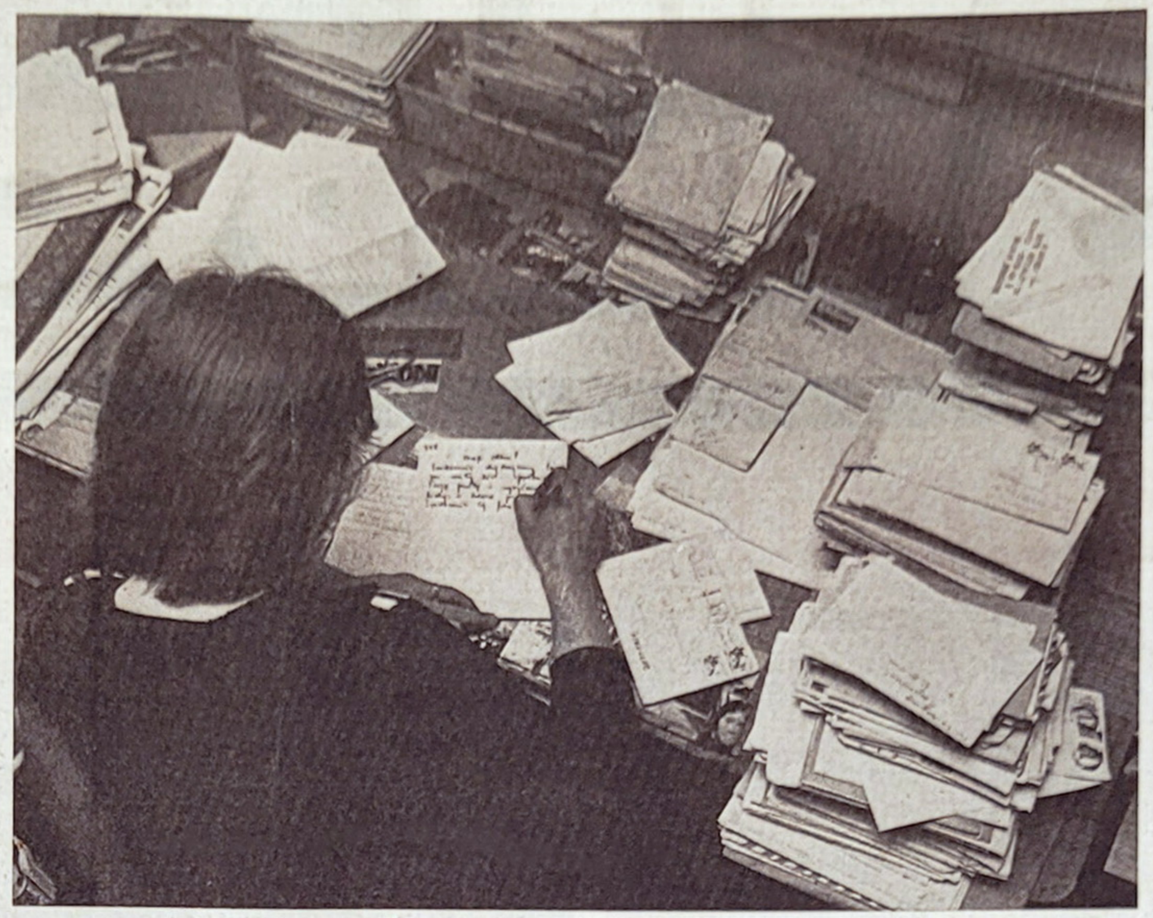

BEZRADNI[1] NA ZAWSZE?

Skąd wiemy, że komuś dzieje się krzywda? Jest takie miejsce w redakcji, gdzie spotykają się krzywdy, życzenia, prośby i żale z całej Polski. To Dział Łączności z Czytelnikami, do którego każdego dnia listonosz wnosi worek listów, czasem i worki dwa. To tu, a nie w pokojach redaktorów, nie w gabinetach naczelnego redaktora i jego zastępców, bije serce redakcji. Bez Waszych listów, nasza dziennikarska wiedza o tym co Was interesuje, co boli i oburza, czego nie wiecie, o czym marzycie, co jest dla Was ważne, czyli po prostu nasza wiedza o Was – byłaby bardzo niepełna. Wasze listy są naszą radością ale bywa, że i smutkiem. Z nich bowiem dowiadujemy się, jak oceniacie naszą pracę, co Wam się w „Świecie Młodych" podoba, a co nie. Dzięki listom spełnia się coś dla każdego dziennikarza najważniejszego – uzyskuje on pewność, że jego słowa zostały odebrane przez drugiego człowieka. Dzięki listom spełnia się też coś najważniejszego dla całej redakcji – wskazują one jak jesteśmy czytani, czy Czytelnicy mają do nas zaufanie i czy liczą na nas. Są więc listy, a może nawet jeszcze bardziej powinny być niż są, naszym najdoskonalszym urządzeniem nawigacyjnym, które wskazuje nam zarówno naszą obecną pozycję jak i kurs w przyszłość.

Listy, listy... a ile tych listów otrzymujemy? W roku 1979 około 200 tysięcy! Czyli prawie 550 każdego dnia, wliczając niedziele i święta. Są to jednak w zdecydowanej większości nie te listy, o których pisałem wyżej. Większość to po prostu rozwiązania krzyżówek, a przede wszystkim odpowiedzi na ogłaszane przez nas konkursy. To oczywiście obciąża skromną ilościowo załogę działu, ale też i dostarcza nam wszystkim satysfakcji z faktu, że konkursy tak „chwytają".

Listów poruszających sprawy tak poważne, że aż wymagające indywidualnych odpowiedzi było 1850. Listów z prośbami o informacje wpłynęło około 3800 i na wszystkie odpowiedziano. W minionym roku redakcja aż 68 razy podjęła walkę zaalarmowana listami, czyli inaczej mówiąc, interweniowała u władz oświatowych i innych w sprawach Czytelników. Czego te interwencje dotyczyły? Przyjęcie do szkół – 60 proc.; spraw pomieszczeń klubowych – 20 proc.; dojazdów do szkół – 10 proc.; reszta to konflikty w szkole, rodzinie, a nawet sprawy karne.

Aż połowa listów napływających do redakcji zawiera prośby o informacje dotyczące szkół zawodowych i to najczęściej średnich. Zaraz po tym są sprawy „sercowe" – 30 proc. Pozostałe to prośby o radę, o pomoc, o spowodowanie dyskusji na łamach „SM" itp. w takich np. sprawach jak: przyjaźń, niesprawiedliwe oceny w szkole, zła działalność samorządu, problemy ZHP, kłopoty wynikające z braku zrozumienia ze strony rodziców, alkoholizm itd.

Co dzieje się z listami? Na część z nich odpowiada się bezpośrednio zainteresowanym, inne trafiają do poszczególnych działów redakcji i ich „tropem" ruszają w teren dziennikarze, czego efektem są artykuły czy felietony. Prawie 350 listów ukazało się w „Redakcyjnej Poczcie", a ponad 100 dużych i poruszających sprawy interesujące wszystkich, zostało opublikowanych. Oprócz tego zamieszczamy przecież jeszcze informacje Czytelników opatrzone inicjałem HSI (Harcerska Służba Informacyjna), działa także Liga Reporterów. Dział Łączności z Czytelnikami prowadzi stałą – dobrze Wam znaną – pozycję „Skrzynka Zaufania", w której specjaliści odpowiadają zbiorczo na tematy poruszane w wielu listach.

Poza adresem pocztowym, redakcja posiada również telefony, z czego Czytelnicy chętnie korzystają. Jak chętnie? Spróbowaliśmy podliczyć te rozmowy i wyszło nam, że każdego tygodnia około 50–70 Czytelników wykręca jeden z naszych numerów. I znów tematem nr 1 są prośby o informacje dotyczące szkół zawodowych. Są to sprawy najprostsze i może dlatego po prostu nie możemy zrozumieć, jak to się dzieje, że musimy ciągle zastępować szkoły, które posiadają te same źródła co my, a jednak nie potrafią dostarczyć odpowiednich informacji. Sądząc z ilości korespondencji na ten temat, należy sytuację poradnictwa zawodowego w szkołach ocenić jako wysoce niezadowalającą. Nie ma nic gorszego w życiu, jak „minąć się z powołaniem". I dlatego w miarę swych możliwości i znajomości tematu, uważamy za swój obowiązek doradzanie Czytelnikom w podjęciu trudnej decyzji wyboru zawodu. Ale najchętniej, kierujemy zainteresowanych do odpowiednich przychodni. Do podawania adresów i warunków przyjęcia do szkół jesteśmy **z m u s z a n i** niedoskonałością obiegu informacji w szkołach. Niedoskonałością stawiającą wielu z Was w sytuacji bezradnych, bo przecież zaledwie znikoma część dobija się o informację w gazecie.

Wasze listy pozwalają nam zajrzeć w skomplikowany świat Waszych przeżyć, doznań, nadziei i rozczarowań. Pozwalają nam wyciągać wnioski dotyczące Waszego miejsca i roli w rodzinie, szkole, w organizacjach. Czy stajecie się wcześniej niż poprzednie pokolenia dorośli? Czy szkoła przygotowuje Was odpowiednio do życia. Dlaczego tak często jesteście bezradni i niesamodzielni? Czy rzeczywiście, jak mówi przysłowie: „Pokorne ciele dwie matki ssie"? Na te wszystkie pytania postaram się odpowiedzieć w artykule, pod tym samym tytułem „Bezradni na zawsze?", w następnym numerze.

JERZY KOWALKOWSKI
Fot. M. Szymański

REPORTER Świata Młodych

O lepsze dni dla S.

Ja w sprawie kultury na wsi. Powiecie, że nudne. Owszem, nudne, ale ciągle aktualne. „Rozwój kultury na wsi", „Więcej klubów" – to tytuły w gazetach.

A jakie jest życie? Nie zamierzam nikogo winić, a choćbym chciała – to nie wiem pod czyim adresem kierować zarzuty.

S. jest dosyć duże. Ośrodek zdrowia, sześć sklepów, niedawno oddany do użytku duży pawilon handlowy, Zbiorcza Szkoła Gminna, Technikum Rolnicze. Ale przepraszam – miałam o kulturze. No więc, jest biblioteka. Ale żeby się do niej dostać, trzeba mieć ogromne szczęście. Bibliotekarka bowiem pracuje trzy dni w tygodniu od ósmej do piętnastej i trzy dni od czternastej do dwudziestej pierwszej. Powiecie – i co z tego? A to z tego, że nikt nie wie kiedy bibliotekarka będzie pracować od rana, a kiedy po południu. Oczywiście przed wejściem wisi tygodniowy rozkład pracy, ale jakaś siła wyższa zmieniła bibliotekarce charakter pracy na nazwijmy to „wolność pani bibliotekarce w swojej bibliotece, kiedy sobie chcę, to bibliotekę otworzę..." A oto przykład: Idę do biblioteki w środę po południu, według rozkładu powinna być czynna od czternastej do dwudziestej pierwszej. I co widzę? Podwoje przybytku kultury zamknięte, a na nich kartka: „Dzisiaj biblioteka była czynna od ósmej do piętnastej..."

W S. jest, nie, przepraszam – był – Klub Rolnika (tzw. „Olimp"). Mieścił się na stadionie należącym do Technikum Rolniczego. Klub urządzono (na koszt Urzędu Gminy) bardzo ładnie: ludowe proste meble, nastrojowe oświetlenie, kolorowy telewizor, radio, dwa magnetofony, adapter. Przez dwa lata opiekowała się nim młodzież. Bardzo lubiłam tam przychodzić. Sala była prawie zawsze pełna. Ówczesną sprzedawczynię, a jednocześnie kelnerkę mini-kawiarni, bardzo lubiliśmy. Szczególnie chłopcy z S. starali się, żeby w klubie było każdemu dobrze. Wciągnęli nawet do pracy stałych bywalców cieszącej się złą sławą gospody „Jagódka". To był ich duży sukces, bo w klubie nie piło się i nie sprzedawało alkoholu. Stał się klub jakby ich własnością, czymś bardzo ważnym; mówili o nim „nasz". Każdy czuł się w nim dobrze. Chłopcy organizowali spotkania z pisarzami, poetami. Ciekawe były również wieczory muzyki. Kto chciał, prezentował słuchaczom z płyt czy magnetofonu muzykę jaką lubi. A kiedy przychodził z gitarą Marcin – miejscowy trubadur – wtedy robiło się w klubie naprawdę fajnie i ciepło. Organizowano dwa lub trzy w tygodniu dyskoteki, które również prawie zawsze należały do udanych. Ale sielanka nie może podobno wiecznie trwać i w tym wypadku tak było.

Tragedia zaczęła się od tego, że klub znajdował się na terenie stadionu należącego do Technikum Rolniczego. Technikum wysnuło z tego wniosek, że klub również należy do niego. I tak za zgodą Gminy opiekę nad klubem przejęła wyżej wymieniona szkoła. Od tego momentu wstęp wolny do klubu mieli tylko uczniowie technikum. I od tej również chwili klub przetrwał jeszcze tylko dwa tygodnie. Okazało się bowiem, że uczniowie technikum mieli na terenie swej szkoły pomieszczenia i świetlicę, gdzie mogli się spotykać, słuchać muzyki, grać w szachy, tańczyć itp. Nie potrzebowali klubu.

Zamknięto „Olimp" uważając go za obiekt zbędny. W czasie zeszłorocznej zimowej klęski żywiołowej zapomniano wypuścić na zimę wodę z kaloryferów. Pod wpływem niskiej temperatury rury popękały; popękały również ściany. Wszystko to razem przedstawia widok żałosny, ale teraz nikogo już to nie interesuje.

Co pozostało młodzieży – tym byłym bywalcom „Jagódki", i tym innym? Nic, tylko wrócić do zadymionych sal gospody i cieszyć się z jedynej rozrywki, jaką są organizowane przez Straż Ogniową „dochodowe" zabawy po 40 zł za bilet. Mogą jeszcze czekać na lato. Wtedy przyjedzie do S. kino objazdowe.

EWA

PS. Od wczoraj pracują w bibliotece dwie panie bibliotekarki. Urząd Gminy w S. zafundował ten dodatkowy etat. Biblioteka nie będzie już chyba straszyła zamkniętymi podwojami. Może więc nadchodzą lepsze dni dla S.?

REDAKCYJNA POCZTA

Omka

Kiedyś strasznie nie lubiłam kotów. Gdy dostałam od mamy na urodziny kota, nie byłam zachwycona tym prezentem. Kot był mały, tłuściutki, lubił się bawić. Kiedy odrabiałam lekcje wchodził mi na biurko i przeszkadzał. Nie przepadałam za nim, ale tolerowałam go ze względu na mamę – nie chciałam jej sprawić przykrości. Żyliśmy tak sobie obok siebie, a kot, któremu dałam na imię Omka, był mi obojętny, czasami mnie denerwował. Trwało to ze trzy tygodnie. Pewnego dnia okazało się, że kot jest chory. Leżał słabiutki, nic nie chciał jeść. W domu zrobiło się strasznie smutno i pusto. Poszłam do sklepu, kupiłam butelkę dla niemowląt ze smoczkiem i zaczęłam zmuszać Omkę do jedzenia. Kot wyzdrowiał, ale choć minęło już 5 lat od tamtej historii – jest głuchy. Teraz nie wyobrażam sobie życia bez Omki, jest mi najbliższym przyjacielem.

Mariola

Przyjaźń z dorosłymi

Często słyszę, jak moi rówieśnicy mówią: z dorosłymi w ogóle nie można się porozumieć ani normalnie porozmawiać. Uważam, że to nie jest prawda. Znam dorosłych, z którymi rozmawiam jak z przyjaciółmi i uważam ich za przyjaciół. Moim zdaniem przyjaźnie między nastolatkami a dorosłymi są bardzo ważne. A co na ten temat sądzą czytelnicy?

Piętnastolatka

Patronka

Jesteśmy uczniami Szkoły Podstawowej nr 9 w Lubinie i stałymi czytelniczkami „Świata Młodych". Chcielibyśmy nawiązać korespondencję ze szkołami, których patronem jest Stefania Sempołowska. My również obraliśmy ją za naszą patronkę i przygotowujemy się do uroczystości nadania imienia szkole. Kontakt ze szkołami, które noszą imię Stefanii Sempołowskiej przybliży nam jej postać, poszerzy nasze wiadomości o tej wybitnej Polce, której wkrótce powierzymy patronat. Czekamy na listy od naszych koleżanek i kolegów.

Uczniowie
Szkoły Podstawowej nr 9
ul. Legnicka 1, 59-300 Lubin

Pożyczki

Znamy się od pierwszej klasy. Wiesiek uczy się bardzo dobrze, wydawałoby się, że jest dobrym kolegą, ale ma jedną okropną wadę: pożycza pieniądze, których nigdy nie oddaje. Pożycza po 5, 10, 15, a nawet 25 złotych. Nie chcę mu już dawać pieniędzy, ale zawsze kiedy wyczuje, że je mam, to męczy mnie, chodzi za mną, aż wreszcie wyciągnie coś ode mnie. Co mam robić? Proszę o pomoc.

Wypłatnik

OD REDAKCJI: Uważamy, że powinieneś porozmawiać zdecydowanie z Wieśkiem na temat nie oddawanych pożyczek. Rozumiemy, że czasami trudno i niezręcznie jest upominać się o swoje. Nie możesz jednak być delikatny w stosunku do kolegi, który jest po prostu bezczelny. Gdy poprosi Cię o następną pożyczkę powiedz mu ostro, że dopóki nie odda Ci pieniędzy, które jest Ci winien, niech nie liczy na następne. Jeśli to nie poskutkuje, to może spróbuj porozmawiać o tym ze swoimi rodzicami. Czasami ingerencja rodziców w podobnych przypadkach daje rezultaty.

(mi)

Rozgwieżdżona, pogodna noc. Wokół las i senne jezioro. Drga w nim odbity płomień i z sykiem gasną iskry. Jest cisza, lecz zaraz zmącą je młode głosy:

Przyrzekam uroczyście całym swym życiem dążyć do budowy Niepodległej, Demokratycznej i Sprawiedliwej Polski, pracować dla dobra powszechnego, postępować szlachetnie i być posłusznym Prawu Harcerskiemu...

Słowa niosą się przez jezioro, szybują nad lasem, w którym rdzewieje porzucona broń i zasieki kolczastego drutu. Docierają do niemieckich bunkrów i łuszczących się farbą tablic z napisem ACHTUNG MINEN. Tu w pobliżu Wału Pomorskiego, na zwycięskim szlaku znów dźwięczy polska mowa.

Trzy mundury Zygmunta Wołowskiego

CAŁYM SWYM ŻYCIEM...

To przyrzeczenie Zygmunt Wołowski złożył 4 września 1945 roku. I choć od tamtej chwili minęło sporo czasu, świetnie pamięta jego tekst. Aby go powtórzyć, wcale nie musi sięgać do niewielkiej, szarej książeczki, do legitymacji, w której 35 lat temu wpisano... Wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego... Do Drużyny Harcerzy im. Zawiszy Czarnego w Wymyślinie.

Historia – kilka spłowiałych fotografii, z których uśmiecha się 15-letnia twarz naszego rozmówcy. I teraźniejszość... ten sam uśmiech, ta sama czupryna, tyle że może rzadsza z pasemkami siwizny.

51-letni Zygmunt Wołowski, który zaprosił nas do swojego mieszkania przy ulicy Wytrwałych w Bytomiu-Bobrku, chętnie podejmuje rozmowę o przeszłości.

– Chodziłem wtedy do I klasy Liceum Pedagogicznego i harcerstwo wciągnęło mnie bez reszty. To była nie tylko miłość, zapał, ale i radość z odzyskania wolności. Po latach okupacji, możliwość przywdziania harcerskiego mundurka i śpiewania polskiej pieśni, tak zwyczajnie bez narażania życia – to... to było niemal wszystko. Dziś brzmi to może patetycznie, ale tak było naprawdę. Kto żyw garnął się do harcerskich drużyn. Biednych, wyposażonych byle jak, najczęściej w sprzęt pochodzący z wojskowego demobilu, ale to nikogo nie zrażało. Chcieliśmy dawać – nie brać!

Pamiętam nasze zbiórki. Owszem, było w nich wiele zabawy, przede wszystkim jednak w tych powojennych latach trzeba było przyjść z pomocą zniszczonemu krajowi. Drużyny, hufce, chorągwie, całe odradzające się Harcerstwo stanęło do pracy przy odgruzowywaniu, odbudowie, porządkowaniu miast i osiedli.

„Rolnik", „stolarz", „mechanik", „leśnik", „murarz" – te sprawności zdobywało się w czasie codziennej, zwykłej pracy. Nie inaczej było na obozach. W Skępem, Gdańsku, Jeleniej Górze – gdziekolwiek nie pojechaliśmy mieliśmy pełne ręce roboty. Pomagaliśmy przy sianokosach, żniwach i wykopkach. I co ciekawe – nikt nie narzekał, nie czuł się zmęczony. Był to najbardziej rozśpiewany okres w naszym życiu. I może dlatego tak bardzo nas lubiano. Humor, piosenka, zapał do pracy – tym zjednywaliśmy ludzi. Dzięki temu do obozowego kotła trafiało czasem więcej boczku, słoniny, ziemniaków... cóż czasy były ciężkie i tak właśnie wyrażano nam wdzięczność.

Stare harcerskie stopnie: „młodzik", „wywiadowca", „ćwik", „harcerz orli", zdobył je druh Wołowski w czasie nauki w Liceum Pedagogicznym. W tym okresie pełnił też funkcję drużynowego IX i plutonowego XVIII drużyny harcerskiej w Wymyślinie. Później ze względu na naukę w szkole specjalistycznej powierzono mu także prowadzenie drużyny zuchowej.

Ten harcerski rozdział życia Zygmunta Wołowskiego zamyka w roku 1948 udzielona rozkazem nr 15/16 pochwała za pilną pracę i wywiązanie się ze swoich obowiązków. Lecz czy zamyka? Chyba nie, bo wszystkie te wartości, które ukształtowało w nim harcerstwo miały już towarzyszyć mu odłącznie przez całe życie, miały zadecydować o jego przyszłości i wyborze drogi, która doprowadziła go z bydgoskiego, aż tu, na Śląsk.

* * *

Zygmunt Wołowski nie został nauczycielem. Po ukończeniu nauki zamienił mundur harcerski na milicyjny. Był młody i sprawny, uprawiał wyczynowo sport (biegi, pływanie, grał w piłkę nożną). Sądził, że te umiejętności bardziej przydadzą się w tej służbie.

Trzy lata po wojnie na północy kraju grasowały jeszcze bandy. W dzień i noc słychać było strzały. Mordowano działaczy PPR, przedstawicieli władzy ludowej, żołnierzy WP. Uważał więc, że najpierw trzeba przywrócić spokój, a dopiero później myśleć o bezpiecznej pracy. Po trzymiesięcznym kursie w Komendzie Wojewódzkiej MO w Bydgoszczy, z naszywkami kaprala i nominacją na stanowisko zastępcy komendanta posterunku zjawił się więc któregoś dnia w Chełmce koło Inowrocławia.

Niełatwa to była służba i w czasie jej pełnienia bardzo przydały mu się rozwinięte w ZHP nawyki: sumienność, odpowiedzialność, nie mówiąc już o odwadze. Z harcerstwem oczywiście nie zerwał. Ilekroć tylko pozwala mu służba „urywał się" od swoich, potrafił przepedałować wiele kilometrów na rowerze, żeby zajrzeć na zbiórkę, ognisko czy obóz.

– To w człowieku zostaje – uśmiecha się Zygmunt Wołowski. – I myślę, że jeśli ktoś był harcerzem, to nie przestanie być nim do końca życia. Ta młodzieńcza przysięga zobowiązuje; przyrzekaliśmy: „...całym swym życiem", a skoro tak, to trzeba słowa dotrzymać. Tak też starałem się wychować swoje dzieci, całą trójkę. I wiem, że mi się to udało. Harcerstwo to u nas sprawa rodzinna!

Na Śląsk, do Bytomia państwo Wołowscy przyprowadzili się 14 lat temu. Jak do tego doszło? Zwyczajnie! Po kilku latach pracy w milicji druh Wołowski zmienił zawód. Podjął pracę w mleczarstwie. Marzył o czymś innym.

Kusił go daleki Śląsk, górnictwo. W tym czasie ożenił się i kiedy zaczęła powiększać się jego rodzina, zaczął rozglądać się za lepiej płatnym zajęciem. Przypadek sprawił, że czytając kiedyś „Zielony Sztandar" natknął się na ogłoszenie werbunkowe. Kopalnia węgla kamiennego w Bytomiu poszukiwała pracowników.

– Nie zastanawiałem się długo – wspomina. – Spakowałem walizkę i ruszyłem. To czego szukałem znalazłem w kopalni Bobrek. W trzy miesiące potem byliśmy już tu – wszyscy razem.

Ten nowy etap swojej biografii Zygmunt Wołowski początkowo „pisał" lopatą. Praktykę w górniczym zawodzie zaczął bowiem od ładowacza. Czy żałuje tego? Skądże! Kolejno przeszedł wszystkie szczeble górniczego wtajemniczenia. Z biegiem lat został dołowym cieślą. Później skończył kursy i awansował kolejno na górnika i górnika przodowego. Dziś jest już **strzałowym, brygadzistą czteroosobowego zespołu i... prawdę mówiąc nie wyobraża sobie, że mógłby robić w tej chwili coś innego.**

– Uważam, że znalazłem wreszcie swoje miejsce – stwierdza Zygmunt Wołowski. – Praca na dole jest twarda, trudna, ale ludzie ją wykonujący są bardziej twardzi. Nigdzie indziej w żadnym zawodzie nie spotyka się takiej solidarności, ofiarności i koleżeństwa. Kto nosi górniczy mundur wie o tym najlepiej.

Na tym trzecim już mundurze Zygmunta Wołowskiego, połyskują rzędy odznaczeń: Brązowy i Srebrny Krzyż Zasługi, Odznaka Przodownika Socjalistycznej Pracy, Odznaki Zasłużonego dla: miasta Bytomia i kopalni Bobrek. Tuż obok, na ścianie liczne dyplomy i wyróżnienia, wśród nich list od prezydenta miasta Bytomia dziękujący za przepracowanie w czynie społecznym 200 godzin przy budowie pawilonu handlowego, który widać z okna.

– Wziął wtedy urlop – wyjaśnia pani Wanda Wołowska. – I pracował dzień w dzień. Niektórzy to nawet się dziwili, że jemu, górnikowi, bądź co bądź po ciężkiej pracy chce się. Podejrzewali nawet, że może dorabia do pensji! Ale mąż taki już jest. Nie usiedzi w domu, zawsze coś musi robić. Tak go wychowano, w szacunku do pracy. Lecz i pobawić się lubi, pośpiewać, zwłaszcza gdy przyjdą dzieci. Siadamy wtedy wszyscy i odżywają stare dzieje, jest czas na wspomnienia, piękne, bardzo piękne, zawsze młode.

ANDRZEJ ŻAK
Fot. **Z. Bisanz**

A właśnie rośniemy dla śpiewu

Chór dla mnie i wszystkich uczestników „Jutrzenki", (70 chłopców i dziewcząt) jest zgranym kolektywem, gdzie przychodzi się zawsze z przyjemnością. Na początku tworzenia się chóru, a było to przed czterema laty, niektórzy odnosili się do tego z niedowierzaniem. Szybko jednak obawa minęła. Dzięki życzliwości, cierpliwości, a także wymaganiom nasz kierownik, Jan Mincewicz, potrafił nie tylko przekonać nas, ale także stworzyć zespół, stojący na wysokim poziomie artystycznym. Właśnie o poziomie artystycznym świadczą nasze osiągnięcia. Dwukrotnie występowaliśmy już z pełnym programem w telewizji. Na Republikańskim Konkursie Chórów Mieszanych dopisało nam szczęście – zajęliśmy III miejsce. Swoimi osiągnięciami może także poszczycić się laureat Konkursu Polskiej Pieśni Estradowej, zespół wokalny „Stokrotki", w skład którego wchodzą najaktywniejsze chórzystki. Trudno powiedzieć, ile razy od chwili powstania „Jutrzenka" witała słuchaczy tymi tradycyjnymi słowy:

„Posłuchajcie „Jutrzenki"
z całego serca płynie śpiew.
Nasze głosy – krople rosy,
zorzy dźwięki,
ciepły wiatru wiew."

Każdy jej występ przynosi radość i zadowolenie zarówno widzom, jak i nam, młodym artystom. Każdy sukces poprzedza wytrwała i uciążliwa praca. Próby – to droga do poznania tego pięknego i tajemniczego świata muzyki, którego miłośników zrzesza „Jutrzenka". W doborze repertuaru pomagają nam nasi polscy przyjaciele – Reprezentacyjny Zespół ZHP „Gawęda" i Zarząd Miejski TPPR w Cieszynie (przewódniczący, mgr Józef Klajsek) i inni.

„Jutrzenka" występuje w dopiero co uszytych, ślicznych strojach. Właśnie w ozdobieniu kostiumów wielką pomoc okazali nasi przyjaciele z PRL.

Życie muzyczne „Jutrzenki" nie ogranicza się do prób i wyjazdów na koncerty symfoniczne i do opery. Chórzyści zachwycali się piękną budową Kremla w Moskwie, spacerowali wąskimi uliczkami starej Rygi. Pamiętam jak we Lwowie, mieście ściśle związanym z kulturą polską, na grobie Marii Konopnickiej składaliśmy kwiaty. A wiosną br. zwiedziliśmy Ubiel – miejsce urodzenia S. Moniuszki. Było to związane ze 160-leciem jego urodzin. Tam też wystąpiliśmy z dużym koncertem, przyjętym z wielką serdecznością.

JADZIA PSZCZOŁOWSKA,
ucz. kl. 10 „d"
Niemenczyńskiej
Szkoły Średniej
w rej. wileńskim,
uczestniczka
„Jutrzenki" i „Stokrotek"
Fot. **Jan Mincewicz**

Członkowie „Jutrzenki" w muzeum Stanisława Moniuszki w Ubicku

„Świat Młodych" z wizytą w Komitecie Organizacyjnym XXII Igrzysk Olimpijskich

NIM ZAPŁONIE ZNICZ

- **30 MLN PASAŻERÓW – DZIENNA DAWKA MOSKIEWSKIEGO METRA!**
- **KOMPUTERY NAWET DLA GAI**
- **JAK PRZYDZIELA SIĘ KARTY WSTĘPU?**

Igrzyska olimpijskie. Sportowa walka, narodowe hymny. Dramaty i radości zawodników, niespodziewane porażki i rekordy. Cała masa wydarzeń, dla których scenariuszy nikt nie pisze. Ale dzięki współczesnej technice wszyscy mogą je obserwować; obecne na stadionie telewizyjne kamery wychwytują bowiem nawet grymasy bólu pechowców...

Przeciętny kibic ogranicza igrzyska właściwie tylko do przebiegu sportowej rywalizacji. Jednak dla organizatorów olimpiady walki zawodników stanowią zaledwie maleńką cząstkę imprezy, finał wieloletnich przygotowań, nakładów finansowych. Jednym słowem igrzyska zaczynają się dla nich niemal nazajutrz po ogłoszeniu decyzji o lokalizacji zmagań spod znaku pięciu kół. Również w Moskwie rzecz wygląda podobnie. O interesujących nas szczegółach dotyczących przygotowań do rozpoczynających się 19 lipca br. zawodów dowiadujemy się w Komitecie Organizacyjnym XXII Igrzysk Olimpijskich. Naszym rozmówcą jest **Allan Starodub**, szef biura prasowego komitetu.

– Czy już wiadomo ile narodowych ekip gościć będziecie na moskiewskiej olimpiadzie? Czy jest szansa, że padnie kolejny rekord frekwencji uczestników zawodów?

– Już obecnie wiemy, choć nie są to jeszcze oficjalne zgłoszenia, że do Moskwy przyjedzie co najmniej 122 drużyny. Liczymy na 130 zespołów. Bezpośrednio przed zimowymi igrzyskami w Lake Placid odbędzie się posiedzenie MKOl, na którym zapadną decyzje o przyjęciu w szeregi organizacji nowych narodowych komitetów olimpijskich. Chodzi tu o takie kraje, jak Laos, Angola, Mozambik... Sądzimy więc, że rekord frekwencji uczestnictwa w olimpiadzie zostanie poprawiony. Ogółem spodziewamy się 12,5 tys. zawodników i trenerów...

– I podobno ponad pół miliona turystów...

– Zgadza się. Połowa z tego przybędzie z zagranicy.

– Doświadczenia z poprzednich igrzysk wskazują, że do najtrudniejszych problemów organizacyjnych należy między innymi przewóz takiej liczby ludzi. Nie tylko do poszczególnych obiektów, ale również do miejsc zakwaterowania. Jak próbuje się rozwiązać ten dylemat w Moskwie?

– Do większości olimpijskich obiektów dociera metro. Zresztą podziemna kolej, jej rozmieszczenie, stanowiły główną zasadę lokalizacji stadionów. A nasze metro jeszcze w ubiegłym roku przewoziło ponad 20 mln pasażerów dziennie. Po zakończeniu modernizacji, w czasie igrzysk, przewozić będzie 30 mln ludzi. Nie sądzę więc, aby zaistniały kłopoty związane z komunikacją. Przecież w grę wchodzą jeszcze trolejbusy i autobusy, które w razie potrzeby wyślemy na poszczególne „trasy olimpijskie". Dzięki specjalnemu oznakowaniu będą one mogły korzystać z pierwszeństwa w ruchu. Dla linii naziemnych przeznaczamy zresztą specjalne pasy jezdni. Dodam, że „trasy olimpijskie" liczą sobie 400 km długości. Na najruchliwszych skrzyżowaniach umieszczono kamery i specjalne czujniki, które połączono z systemem komputerowym GAI (skrót pełnej nazwy milicji drogowej – przyp. ZP), **co pozwoli na ciągłe kontrolowanie natężenia ruchu. W wypadku istnienia groźby zatorów – część pojazdów będzie się kierować na inne ulice.**

– Inny problem to sprawa rozprowadzenia biletów na poszczególne zawody. Mam na myśli karty wstępu dla zagranicznych przybyszów...

– W obiektach sportowych jest 340 tys. miejsc. Bilety sprzedaje się na walki ranne i popołudniowe. Dysponujemy więc 680 tys. kartami wstępu. Ich rozprowadzaniem zajmuje się biuro turystyczne „Inturist". Maksymalną ilością biletów, którą może otrzymać dane państwo jest 200 tys., minimalną – 5 tys. Wysokość przydziału zależy nie tylko od liczby ludności, wielkości ekipy olimpijskiej czy też zainteresowania igrzyskami, ale również od... ilości kart, sprzedanych na poprzednich imprezach tego typu. I tak: USA przydzielono 200 tys. biletów, Wielkiej Brytanii – 91 tys., Finlandii – 61 tys...

– Ludzie będą interesować się nie tylko zawodami. Co zaproponujecie zagranicznym turystom?

– O rozrywkach typu kulturalnego mówić nie będziemy, bo tematu wyczerpać się nie da. Powiem tylko o naszych propozycjach turystycznych. Do dyspozycji przybyszów oddajemy 30 lotniczych tras, 16 połączeń autobusowych i kilkanaście wodnych. Trasy prowadzą przez najpiękniejsze zakątki Kraju Rad. Specjalne programy przygotowano i dla amatorów zwiedzania Syberii...

– Sportowcy mogą tylko marzyć o podobnych wycieczkach.

– Niestety, ich starty wykluczają dłuższe wojaże po ZSRR. Udostępnimy im za to trasy krótkie, 1–2-dniowe. Nie sądzę, aby narzekali na nudę. W Moskwie jest co oglądać. Ponadto w olimpijskiej wiosce mają salę koncertową na 1200 miejsc, dwa kina, dancingi, bibliotekę, dyskoteki, telemonitory na 20 programów. Aby wszyscy czuli się w niej dobrze przewidzieliśmy nawet specjalne pomieszczenia do odprawiania obrzędów religijnych różnych wyznań. Nie zapomniano oczywiście o urządzeniach typu treningowego. Chcemy, aby organizowane przez nas igrzyska wypadły dobrze pod każdym względem, a ich uczestnicy wywieźli z naszego kraju jak najlepsze wrażenia.

– Dziękujemy za rozmowę i życzymy udanej olimpiady.

Rozmawiał
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. autora

Specjalne sklepy z olimpijskimi pamiątkami będą w czasie trwania igrzysk oblegane przez zagranicznych turystów. Jedno jest pewne, że największą atrakcję stanowi „Miszka" – oficjalna maskotka imprezy

KALEJDOSKOP 6

Coś wesołego na ścianie

Stoły w harcówce zestawione. Na każdym mnóstwo kolorowych drobiazgów. To członkowie zastępu prezentują swoje kolekcje. Znaczki, widokówki, proporczyki. Giełda odbywa się raz w miesiącu. Zbiory są ciągle powiększane tak, że na każdym spotkaniu można obejrzeć nowe „trofea". Największe problemy ma Witek. Od dwóch miesięcy nie przybyło mu nic nowego do kolekcji starych map Polski. Ale i tak przy jego stoisku najwięcej ciekawskich. Przy okazji można przypomnieć sobie kawałek historii, bo Witek jest z natury gawędziarzem. O każdej mapie lubi coś niecoś powiedzieć.

Druga pasja zastępu „Czarne stopy" z 18 Drużyny Sportowej Szkoły Podstawowej nr 5 w Tarnobrzegu – to gazetki rysunkowe.

Ważne wydarzenia w szkole, klasowe uroczystości, rocznice, podejmowane przez harcerzy akcje – są świetną okazją do wyżycia się w satyrycznym wierszyku czy humorystycznym rysunku. Uczniowie szkoły wciąż zaskakiwani są świetnymi pomysłami „Czarnych stóp". Wystarczy przejść się po szkolnych korytarzach. Na jednej z gazetek hasło: „Ogłaszamy tydzień walki z brudem", a pod spodem harcerz z szablą wymierzoną w kierunku sterty śmieci. Na innej ścianie karykatury członków 26 drużyny im. Zawiszy Czarnego – bo przecież trzeba trochę pożartować z konkurentów. Wszystko to oczywiście z należytym umiarem, bo tak naprawdę to członkowie obu drużyn przyjaźnią się ze sobą.

Obecnie członkowie zastępu próbują zachęcić uczniów całej szkoły do wielkiej akcji zbiórki makulatury. Właśnie Jacek namalował dwóch harcerzy ciągnących z trudem ogromny wór pieniędzy, który otrzymali w punkcie zbiórki makulatury. Skutki takiej agitacji są o wiele lepsze niż wtedy, gdy stosowano starą metodę chodzenia po klasach i błagalnego proszenia – „przynieście choć jeden kilogram gazet".

Swoje zdolności plastyczne i poetyckie wykorzystują również w inny sposób. Opracowują na nowo dobrze znane bajki. Zmieniają zakończenia, dodają humorystyczne sytuacje i tak przygotowane inscenizacje pokazują chorym dzieciom z pobliskiego szpitala. Dzieci reagują żywo. Po przedstawieniach długo jeszcze się śmieją. A o to właśnie młodym aktorom chodzi.

ALINA WIENIAWSKA

STRACHY

REPORTER Świata Młodych

A więc minął już ten dzień. Dla mnie był on wielki i niezapomniany, bo po raz pierwszy próbowałam swoich sił na scenie. Nasz ogólniak wystawiał komedię „Pies i wilk". Sztuka fajna, a mnie przybyło trochę miłych wspomnień.

Teraz patrzy na nas, wygląda na spokojnego i uśmiechniętego, ale wszyscy wiemy, że jest zdenerwowany. Mamy pół godziny, żeby zrobić próbę, ucharakteryzować się i przebrać. Bardzo mało czasu, a w sztuce bierze udział dużo pierwszaków, denerwują się, dostają niemalże histerii.

Ja też jestem w pierwszej klasie, to blednę, to czerwienieję, chyba nie wytrzymam. Dobrze, że Elka ma dla mnie „Neospasminę" – przyda się.

„No i co, królewno, podeszłaś do stolika, na którym stała „Neospasmina", a tu nic nie ma. Już ci ktoś zdążył wyżłopać, co ty teraz zrobisz? Już ci się nogi trzęsą, a co będzie przed widownią?"

Próbowałam sobie wytłumaczyć, że już stałam na deskach tej sceny, że to pestka, głupstwo, profesor taki opanowany. Ale zdawałam sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie grałam dla widza, że za tą kurtyną jest 300 ludzi, wszystkich znam. A jak zapomnę roli? Jak się będą ze mnie śmiać? I czy ja w ogóle wyjdę na tę przeklętą scenę.

Wyszłam. Wyszłam wtedy i wiele razy potem. Teraz gram jakbym nic innego w życiu nie robiła. To mi daje wielką satysfakcję. Nie wiem, dlaczego akurat to zdarzenie opisałam.

W tej chwili na wszystko patrzę bardziej spokojnie, scena bowiem jest dla mnie rozrywką, moim hobby. Ale przedtem się bałam. Najnormalniej w świecie trzęsły mi się nogi ze strachu. Gdyby nie profesor, uciekłabym chyba do domu. To było pierwszy raz... Niepewność, czy dobrze zagram, jak przyjmą to widzowie. Ech, ty stary wygo, jeszcze ci się oczy pocą ze wzruszenia, gdy sobie to przypominasz. Tak, ale to miło mieć coś tak do „pamiętania".

Tamten pośpiech, nerwówka, krótki okrzyk tuż przed wyjściem – „Aśka, trzymaj się!" Teraz ja, jakiejś mojej młodszej koleżance przed pierwszym jej występem powiem – „trzymaj się!" i głowę daję, że to samo pomyśli, co ja w tamtej chwili – „łatwo powiedzieć". A może ona za jakiś czas, znów to komuś przekaże?

Dzisiaj nie potrafię już obejść się bez sceny. Dostałam znów rolę. Muszę sobie sztukę przeanalizować i przemyśleć. Ale na scenę wyjdę lekko, swobodnie.

JOANNA LECHOWICZ
Nowa Sarzyna

M/S „FELIKS DZIERŻYŃSKI"

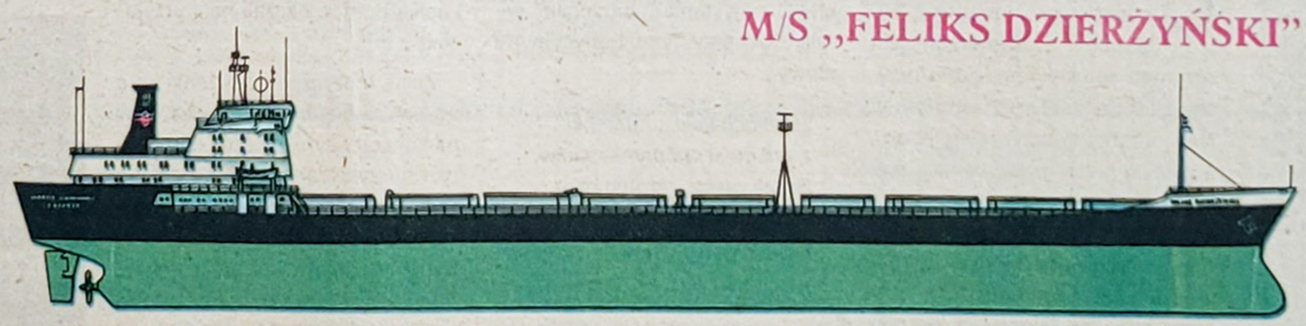

W dniu 30 grudnia 1977 roku Stocznia im. A. Warskiego w Szczecinie przekazała Polskiej Żegludze Morskiej uniwersalny masowiec m/s „Feliks Dzierżyński". Statek ten wywodzi się z długiej serii 32-tysięczników budowanych przez tę stocznię dla kraju i na eksport. Przy budowie tej jednostki, konstruktorzy (na podstawie uwag poczynionych przez specjalistów z PŻM) zmodyfikowali statek, wprowadzając szereg istotnych zmian (m. in. dzięki zastosowaniu do budowy kadłuba stali wyższej jakości, podwyższono nośność do 33,5 DWT). Następne dwie jednostki oddane w terminie późniejszym dla PŻM, noszą nazwę m/s „Walka Młodych" i m/s „Uniwersytet Śląski". Jednostki te przeznaczone są do przewozu węgla, zboża, rud żelaza oraz fosfatów i fosforytów.

Długość całkowita m/s „Feliks Dzierżyński" wynosi 198 m, szerokość – 24,5 m. Zanurzenie – 11 m. Pojemność – 20 309 BRT. W jego ładowniach mieści się 13 145 ton rejestrowych węgla lub innych ładunków masowych, tyle, ile zabrałby pociąg złożony z 547 wagonów kolejowych do przewozu węgla. Nośność – 33 500 DWT. Może rozwijać prędkość około 16 węzłów. Napęd stanowi silnik o mocy 12 000 KM. Jednostki te posiadają zautomatyzowane siłownie, sterowane z mostku nawigacyjnego. W siłowni znajduje się kabina w pełni klimatyzowana. Zasięg pływania – 13 tysięcy mil morskich. M/s „Feliks Dzierżyński" posiada biologiczną oczyszczalnię ścieków. Załoga składa się z 33 osób.

Wszystkie pomieszczenia mieszkalne i biurowe znajdują się w nadbudówce rufowej. Załoga posiada jednoosobowe kabiny z łazienkami. Na statku znajduje się świetlica, biblioteka, pokój hobbistów, sala gimnastyczna, basen oraz sauna.

Rys. **Marek Soroka**

10

KUPON KONKURSOWY

WYTNIJ, ZACHOWAJ

„Świat Młodych"

PZM

NIKT NIE MOŻE WIEDZIEĆ JAK BYŁO ...

Wtorek

Nikt z nas nie przypuszczał, że może stać się coś takiego. Po południu cała klasa pracowała w klubie. Marek pobiegł do sekretarki po klucz i przyniósł wiadomość, że woźna zostawiła wszystkie dzienniki. Ktoś zażartował, że można by zobaczyć stopnie z klasówki z polaka.

Woźna zamiatała przed szkołą. Szybko odszukaliśmy dziennik VII b. Wszyscy się pchali, każdy chciał zobaczyć co innego. Byłem zdenerwowany, ale korciło mnie, żeby też poprawić sobie jakieś nieobecności. Nagle ktoś potrącił stolik. Kilka oddartych stron z dziennika pozostało w czyichś rękach.

Okropnie się przestraszyłem, zresztą chyba nie tylko ja. Postanowiliśmy zabrać dziennik i szybko uciekać. Odetchnęliśmy dopiero w klubie. Sytuacja beznadziejna, w takim stanie dziennik nie może wrócić do sekretariatu.

Przysięgliśmy milczenie, a dziennik zakopaliśmy. Ten notatnik też od dzisiaj będzie w tajnej skrytce, bo nikt nie może wiedzieć jak było.

Środa

Nigdy dzwonek na lekcje nie dzwonił tak głośno jak dziś. Wiercił w uszach, a w klasie zrobiło się cicho. Wszyscy myśleli chyba to samo – „już muszą wiedzieć". Za chwilę wejdzie wychowawczyni. Bardzo ją lubię, tak jak zresztą wszyscy. Jest z nami na stopie przyjacielskiej, każdego umie zrozumieć. A my wczoraj z tym dziennikiem – czy takie rzeczy robi się przyjaciołom?

Wychowawczyni weszła do klasy, uśmiechnęła się do nas jak zwykle i lekcja potoczyła się normalnie. Nieobecnych, gospodarz klasy zapisał na kartce. Nie mogliśmy doczekać się dzwonka, żeby podzielić się domysłami. Faktem było, że dziennika nie ma. Ale pani nie sądzi, aby ktoś z nas mógł maczać w tym palce. Zaczynają mnie gnębić wyrzuty sumienia, ale najgorsze jest to oczekiwanie. Co będzie dalej? Co będzie jak pani się dowie, że to my. Jak będzie głupio, bo przecież prawie każdy z nas mówił na lekcjach wychowawczych o uczciwości, odwadze itd.

Palą mnie policzki.

Czwartek

Wczoraj nikt nie wspomniał o dzienniku. Wszyscy są trochę podenerwowani, bo cała klasa już wie. Mamy nadzieję, że jakoś rozejdzie się po kościach.

Dzisiaj przed lekcjami zaczepił mnie Marek i tak mi powiedział, że musiałem zacisnąć pięści i na siłę wstrzymywać łzy. Klasa boi się o to, że taki „słabeusz" jak ja, wyda ich. „Mamin synek, który płacze o byle co" (tak mnie nazwał) ma ostatnią okazję do wykazania się męską odwagą.

Co oni sobie wyobrażają? Nikogo nie wydam, chociaż okropnie mi ciężko z tą tajemnicą, bo nawet mamie nie mogę się z niej zwierzyć.

Na ostatnią lekcję przyszła dyrektorka. Powiedziała, że wszystko wskazuje na nas, bo ani sekretarka, ani woźna nie wiedzą, co się mogło z dziennikiem stać. Kiedy dyrektorka wyszła, wychowawczyni zapytała, czy ktoś z nas coś wie. Czułem, że się czerwienię. Ale najgorsze to było potem.

Wychowawczyni bardzo smutnym głosem przypomniała nam naszą przyjaźń i to, że zawsze byliśmy uczciwi wobec siebie. Ponieważ wierzyła w nas, zaręczyła swoim słowem o naszej niewinności. Lecz teraz okazuje się, że nie można wierzyć i ona bardzo źle się czuje w takiej sytuacji. Poprosiła, żeby przyszedł do niej ten, kto to zrobił, a jeżeli ten „ktoś" się nie odważy, ona raz na zawsze straci zaufanie do naszej klasy. Nie będzie mogła być wychowawczynią klasy, na której nie można polegać.

Po lekcjach nie rozmawialiśmy ze sobą i każdy poszedł do domu. Siedzę w swoim pokoju już chyba kilka godzin. Mama jeszcze nie wróciła, bo dzisiaj do późna pracuje. Myślę i myślę co zrobić. Już dłużej nie mogę wytrzymać w tym kłamstwie. Nasza wychowawczyni zawiodła się chyba już na całe życie.

Wieczór

Wróciłem od wychowawczyni.

Przyznałem się, że to ja zniszczyłem dziennik, bo nie chciałem, żeby mama dowiedziała się o moich dwójkach. Byłem potwornie zdenerwowany, ale najważniejsze, że ona mi uwierzyła i podziękowała za odwagę. Potem kazała wracać do domu, a jutro na lekcji obiecała, że przedyskutujemy to z całą klasą.

Płakać mi się chce. Czuję ulgę, ale teraz znowu zaczynam się bać – co dalej? Wychowawczyni uratowana, klasie udowodniłem, że nie jestem zdrajcą ani tchórzem. Ale teraz... wyrzucą mnie ze szkoły.

Okropnie źle się czuję, szumi mi w uszach, chyba mam gorączkę. Ale to dobrze, bo nie będę musiał iść jutro do szkoły. Wszystko skończy się beze mnie. Właśnie wchodzi mama, powiem jej, że płakałem, bo boli mnie głowa.

Piątek

Jestem chory.

Mama nie poszła do pracy. Jest bardzo zmartwiona. A jak się dowie o wszystkim... Tak mi źle!

Dzwoni telefon. To do mamy. Powiedziała, że wychodzi na dwie godziny. Spróbuję spać. Muszę zasnąć.

Okazało się, że kiedy pani opowiedziała klasie o przyznaniu się Pawła klasa zaprotestowała. Przyznali się do tego co zrobili, a potem dyskutowali, jak można sprawę naprawić. Postanowiono odkopać dziennik. Wszyscy, którzy brali w tym udział nigdy nie chcieliby czegoś podobnego przeżyć.

Z notatnika spisała
JOANNA ŁĘGOWIECKA

ZŁOTA ODZNAKA TPPR DLA KOŁA W IV LO W KATOWICACH

Szkolne Koło TPPR w IV LO im. M. Nowotki w Katowicach spotkał zaszczyt nie lada. Za swoją działalność zostało odznaczone Złotą Odznaką TPPR, którą otrzymują najlepsi z najlepszych. Do koła należy prawie 300 uczniów i wielu z nich aktywnie działa, czego dowodem są liczne sukcesy – 4 miejsce w wojewódzkich rozgrywkach na najlepsze wykonanie piosenki radzieckiej i we współzawodnictwie kół w woj. katowickim. TPPR otrzymuje utrzymuje bliskie kontakty z młodzieżą z ZSRR. W zeszłym roku szkoła gościła komsomolców, w tym roku wykładowczynię z Uniwersytetu w Ałma-Acie, która podzieliła się z nimi wiadomościami na temat budowy magistrali Bajkalsko-Amurskiej. Wszyscy uczniowie regularnie czytają prasę radziecką i literaturę, którą prezentują na „spotkaniach przy samowarze". Piją wtedy herbatę z oryginalnego, rosyjskiego samowara, recytują wiersze, dyskutują o poezji, prozie.

Czasem spotykają się z ludźmi zasłużonymi dla Polski i ZSRR, jak np. z byłym żołnierzem walczącym wraz z Armią Radziecką na szlaku od Lenino do Berlina.

Już od początku roku szkolnego trwają przygotowania w kole do uczczenia Olimpiady w Moskwie. Uczniowie wykonali sympatyczną maskotkę „Miszkę" – symbol moskiewskiej olimpiady, która zostanie wręczona pod koniec roku szkolnego najlepszemu uczniowi. W szkole organizuje się liczne imprezy poświęcone Olimpiadzie, w których obok „Miedwieżonka" występują bohaterowie radzieckich gazet np. Krokodił.

Szkolne koło TPPR przygotowuje się do zorganizowania w szkole dnia radzieckiego. Wtedy uczniowie zamierzają mówić po rosyjsku, przyjść na zajęcia w regionalnych strojach rosyjskich i przygotować rożnorodne smakołyki rosyjskiej kuchni. Koło TPPR chce także gościć co pewien czas na antenie szkolnego radiowęzła przygotowując krótkie audycję oczywiście w jęz. rosyjskim. **(bg)**

Wycieczka w nieznane

Koła pociągu podmiejskiego turkotały monotonnie, za oknem przesuwał się zimowy pejzaż, jechaliśmy w nieznane...

Kilkunastoosobowa grupa spotkała się na dworcu. To, że wybraliśmy wycieczkę, a nie dłuższe wylegiwanie się w łóżku, spowodowała wiadomość w prasie: PTTK organizuje w niedzielne przedpołudnia wyprawy po bliskich, krótkich, lecz bardzo ciekawych turystycznie trasach podmiejskich.

Żeby wziąć w nich udział należy do chlebaka zapakować parę kanapek i termos z gorącą herbatą. Ubrać się ciepło i wygodnie, nie zapominając o dobrych nieprzemakalnych butach; należy jeszcze kupić w kasie za parę złotych bilet i z czekającym przewodnikiem wsiąść do pociągu. A później iść parę kilometrów posługując się mapą, po bezdrożach, lasach, omijając wody, brodząc po kolana w śniegu, odpoczywając przy ognisku...

Cała nasza grupa zmęczona, odurzona świeżym powietrzem wracała do domu z mocnym postanowieniem wędrówki w następną niedzielę.

Fotoreportaż
WOJCIECHA WRÓBLEWSKIEGO

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

OPEL KADETT

Nazwą KADETT zachodnioniemiecka wytwórnia Opel oznacza wytwarzane w ramach swojego programu produkcyjnego najmniejsze samochody. Nie są one tak małe, jak najmniejsze samochody zakładów Fiata, lecz już sama przynależność Opla do amerykańskiego koncernu General Motors, usprawiedliwia stosowanie takiego określenia.

Historia samochodów mających w swojej marce oznaczenie KADETT liczy już 43 lata; pierwszy model z tej serii został wyprodukowany w roku 1936. Był on wytwarzany do roku 1940. Produkcję wznowiono w roku 1962. Ten model KADETTA w niczym nie przypominał już modelu z lat przedwojennych. Następne zmiany w konstrukcji i sylwetce następowały w latach 1965 i 1973. Przedstawiony najnowszy model KADETTA z roku 1979 stanowi więc jak gdyby piątą generację samochodów tego typu.

Model z 1979 jest pierwszym samochodem z zakładów Opla posiadającym napęd na przednie koła, pochodzący od silnika umieszczonego z przodu pojazdu. Sylwetką zewnętrzną nowy OPEL upodobniony został do modeli luksusowych Opla, marki MONZA i SENATOR. Samochód ten wytwarzany jest w sześciu typach nadwoziowych, z tym że podstawowe są trzy wersje pokazane na rysunkach:
– limuzyna,
– limuzyna – kombi,
– typowe kombi, zwane w narodowej nomenklaturze „caravan".

Tak jak i w wielu innych aktualnie produkowanych samochodach, również OPEL KADETT nie posiada prawie w ogóle ozdobnych chromowanych części. Przedni i tylny zderzak są z tworzywa sztucznego, barwionego na kolor czarny. W takim samym kolorze jest ozdobna krata wlotu powietrza, ramki tylnych zespolonych świateł, klamki, pokrywa wlewu paliwa, wycieraczki itp.

Szczególnie staranne jest zabezpieczenie od korozji spodu nadwozia, głównie zaś wnęk kół, które są pokryte dodatkową warstwą tworzywa sztucznego.

We wnętrzu pojazdu mieści się pięć osób – dwie na przednich oddzielonych fotelach, trzy na tylnym siedzeniu typu kanapowego. Przednie fotele, w zależności od tego, w jakiej wersji wytwarzany jest samochód, mogą mieć regulowaną pozycję oparć i kształty dopasowane bardziej do anatomicznej budowy ciała.

OPEL KADETT może być wyposażony w silniki o pojemnościach:
– 1,2 litra – posiadający pojemność roboczą 1196 cm sześc.,
– 1,3 litra o pojemności roboczej 1297 cm sześc.

Pierwszy silnik osiąga moc 39 kW (53 KM) przy 5400 obr/min i stopniu sprężania 7,8 pracuje na benzynie niskooktanowej.

Drugi silnik wytwarzany jest w dwóch wersjach N i S. W wersji N (normal) osiąga moc 44 kW (60 KM) przy 5800 obr/min i stopniu sprężania 8,2; silnik ten może być również zasilany benzyną o niższej liczbie oktanowej.

W wersji S silnik posiada podwyższone sprężanie do wielkości 9,2, dzięki temu jego moc wynosi 55 kW (75 KM), a do jego pracy niezbędna jest już benzyna wysokooktanowa.

Zasilanie w mieszankę paliwową wszystkich typów silników odbywa się za pośrednictwem gaźnika opadowego marki Varajet II. Chłodzenie realizowane jest przy pomocy płynu z obiegiem poprzez pompę przetłaczającą płyn do chłodnicy, w której wymuszony przepływ powietrza odbywa się za pośrednictwem wentylatora poruszanego silnikiem elektrycznym.

Mechanizmy przeniesienia napędu i zawieszenia mocowane są do dolnej części samonośnego nadwozia, które zastępuje ramę podwoziową. Wszystkie koła samochodu zawieszone są niezależnie; z przodu na zwrotnicach kolumnowych, z tyłu na wleczonych wahaczach. Elementami resorującymi są sprężyny śrubowe z amortyzatorami teleskopowymi. Hamulce przy przednich kołach są tarczowe, przy tylnych bębnowe. Zbiornik paliwa umieszczony jest pod tylnym siedzeniem; posiada on pojemność 42 litry, w modelu „caravan" 50 litrów.

Ogumienie samochodu posiada średnicę 13 cali i w zależności od wersji wykończeniowej osadzone jest na obręczach tłoczonych lub też odlewanych.

Dane wielkościowe OPLA KADETTA są następujące: długość 3998 mm (wersja „caravan" 4207 mm), szerokość 1636 mm, wysokość 1380 mm, rozstaw osi 2514 mm.

Ciężar w zależności od wersji samochodu wynosi od 815 do 855 kg. Ciężar w wersji „caravan" od 875 do 905 kg.

Zużycie paliwa przy prędkościach 90 i 120 km/godz. oraz w jeździe po mieście wynosi w zależności od modelu i silnika od 6,1–10 l/100 km.

Prędkości maksymalne dla modeli z silnikami 1,2 – 1,3 N – 1,3 S wynoszą: 140 km/godz., 147 km/godz., 158 km/godz., a przyspieszenia od 0 do 100 km/godz. uzyskują w czasie: 18,5 sek., 15,5 sek., 13,5 sek.

ZENON DUTKIEWICZ

KIM BYŁA JOY ADAMSON? (2)

LISTY OD JOY

Joy Adamson z małpami jedwabistymi ▶

Gepardzica Pippa i jej małe ▼

Pierwszy list do Joy wysłałam po przeczytaniu „Elzy z afrykańskiego buszu". Miałam tyle pytań, że odważyłam się na chybił trafił wysłać list do Afryki nie znając nawet dokładnego adresu pani Adamson. List jednak doszedł. Był to rok 1969, bezpośrednio po nakręceniu serii filmowej o Elzie.

W tym czasie tak pisała do mnie Joy: „...Filmowa wersja „Urodzonej na wolności", jest teraz pokazywana we wszystkich krajach. Państwo Traversowie (grający mnie i Georga w filmie) potrafili naprawdę zaprzyjaźnić się z lwimi aktorami.

To duże osiągnięcie: umieć zdobywać ufność zwierzęcia każdego dnia, stworzyć mu poczucie swobody, a jednocześnie zawsze panować nad sytuacją...

Teraz jestem z Georgiem na kampingu w Meru. George uczy od nowa żyć na wolności trzy z dwudziestu czterech lwów grających w filmie. Ja robię równocześnie to samo z moją gepardzicą Pippą, która urodziła cztery małe i samodzielnie już utrzymuje swoją rodzinę, choć mieszka daleko od mojego domu..."

W rok później Joy pisze: – „Mam skompletowane już moje badania nad gepardem, po blisko pięcioletnim okresie obserwacji. Opublikuję je w książce pt: „Cętkowany Sfinks". Mam nadzieję, że uda się przywrócić życie ginącemu gatunkowi gepardów, na tych obszarach, gdzie zostały całkowicie wytępione...

Obecnie żyjemy wspaniale. Mam dwie małpki jedwabiste, a obok domu żyje stadko dzikich antylop. Zajmujemy się lwem Boyem, który również grał w filmie „Urodzona na wolności". Dzięki mojemu mężowi jest teraz wolny. Niedawno jednak stoczył walkę z dzikim bawołem, został w niej ranny. Bawoł rozerwał mu bark. Kurujemy go i mamy nadzieję, że wkrótce będzie mógł nacieszyć się wolnością w pełni..."

Na następny list czekałam długo, Joy leczyła się w szpitalu.

19.V.1971 roku – „Kochana Joanno, przykro mi, że tak długo nie odpowiadałam, zalegam z całą korespondencją. Czytałam pamiętniki Marii Curie-Skłodowskiej. Noszę je do dziś w sercu. Wydaje mi się, że czuję z Tobą ducha twojej Ojczyzny. Myślę, też, że obie jesteśmy na tej samej długości fali...

W najbliższym okresie, jeśli to będzie możliwe, chcę zacząć obserwacje nad lampartami. Tak jak to robiłam z Elzę i Pippą. Praca taka jednak wymaga paru lat przebywania w buszu i wyłączenia się z czynnego życia..."

W innym liście pisze: – „Joanno, jeśli nie sprawi ci to zbyt wiele kłopotu, pragnęłabym dowiedzieć się, co stało się z moim honorarium za polskie wydanie „Urodzonej na wolności". Zgodziłam się, że pieniądze te zostaną przeznaczone na ochronę polskich dzikich zwierząt, w szczególności na żubry. Komitet Elzy pomaga swoimi funduszami na Węgrzech, w Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii, ZSRR. Przysyłają mi roczne wykazy o tym, jak gospodarują tymi pieniędzmi. Czechosłowacja wydała nawet medal okolicznościowy, a rząd węgierski zaprosił mnie nad Balaton, żeby pokazać utworzone tam rezerwaty ptaków. Była to ciekawa podróż. Miałam tam szereg odczytów na Światowej Wystawie Łowieckiej.

Miałam też przyjemność rozmawiać z reprezentantem polskiego pawilonu dr Hubertem Wolańskim, o problemach dzikich zwierząt w Polsce, a w szczególności o wilkach...

George ciągle zajęty jest trzema lwami, znajduje się czterysta mil ode mnie. Rzadko się widujemy. W styczniu byłam z wykładami w USA, w Kanadzie, Anglii i gdzie indziej, gdzie zakładamy kluby Elzy..."

A oto fragmenty następnego listu. „Moja podróż była fascynująca, rząd Związku Radzieckiego zaprosił mnie na konsultacje. Trwało to cztery tygodnie – od Finlandii aż po Kaukaz. Są tam sto dwa parki narodowe gigantycznych rozmiarów. Pięć dni spędziliśmy na Kaukazie w jednym z nich. Młodzież jest tu dobrze przygotowana do ochrony przyrody. Pragnęłam zobaczyć jeszcze rezerwat w Puszczy Białowieskiej, gdzie żyją żubry, ale nie starczyło czasu w programie..."

W roku 1975 Joy pisze o swojej podróży do Japonii: „... We wrześniu i październiku byłam na zaproszenie rządu w Japonii, aby zainicjować tu Apel Elzy. Podróż była fascynująca. Wielkie wrażenie zrobił na mnie dynamiczny rozwój techniki – przerastający człowieka i jego życie. Dużym szokiem był kontrast pomiędzy tak rozwiniętą kulturą dalekiego wschodu z jej świątyniami i pałacami, a okrucieństwem, z jakim ludzie tu odnoszą skę do zwierząt. Napisałam ostry list do premiera z żądaniem zamknięcia niedzielnego targu, gdzie dzikie zwierzęta trzymane są w strasznych warunkach. W końcu wysłano je do ZOO, ale część z nich tego nie dożyła..."

Jakiś czas później Joy pisze: „Niedawno dowiedziałam się zaskakującej rzeczy, że pochodzę... ze szlacheckiego polskiego rodu po pra-pra babci, która była polską hrabiną! Widziałaś moje fotografie – mam wyraźnie słowiańską urodę i budowę ciała...

George spędził kwiecień na wypoczynku po wypadku z lwami. Stało się to podczas wspólnej zabawy. W pewnym momencie wszedł na skałę, aby coś z niej podnieść. Lew wtedy skoczył na niego, w zabawie strącając w dół. George spadł na ostre kamienie, ten upadek wywołał natychmiastowy paraliż. Lew przybiegł i myśląc, że zabawa trwa dalej usiadł na nim jak na zdobyczy, łamiąc ku kości miednicy swoim ciężarem. George został natychmiast przewieziony samolotem do szpitala w Nairobi, a teraz jest już dobrze...

Moim gorącym pragnieniem jest poznać charakter trzech największych kotów afrykańskich, lwa, lamparta i geparda, z których lampart jest najinteligentniejszy, ale i najdzikszy. Chciałabym przywrócić mu dobrą reputację, która została zszargana przez opisy pseudo-autorów na jego temat. Ludzie nie wiedzą, jakiemu stresowi ulegają złapane, przetrzymywane w klatkach i transportowane dzikie zwierzęta. Publiczność z ZOO wynosi wrażenie, że zwierzęta są głupie i złe. Mam jedno życzenie, byśmy mogli tym wszystkim nieszczęśliwym zwierzętom ofiarować ich prawdziwe życie i największe ich bogactwo – naturę..."

Potem znowu nastąpił długi okres oczekiwań, aż wreszcie nadszedł kolejny list: „Moja Droga Joanno, pytasz co robię wieczorami, gdy jestem zmęczona. Lubię słuchać muzyki, ze stereofonicznych płyt. Mam jednak na to mało czasu. Jestem zasypana pozycjami naukowymi, muszę je przeczytać, a potem przeważnie padam na łóżko całkowicie wyczerpana ciężkim dniem. Codziennie o siódmej rano karmię Penny – młodą lamparcicę. Ma w tej chwili osiem miesięcy. Zanim udało mi się zabrać ją do parku narodowego zdążyła popaść w stresy i frustracje. Mam miłą asystentkę z USA i ona wychodzi z Penny na ranne i popołudniowe spacery. Penny ją uwielbia, skrada się do małych antylop i ptaków choć jej instynkt łowiecki nie jest jeszcze rozbudzony. Właśnie teraz pobiera naukę..."

Kilkanaście miesięcy później...

„Moja Droga Joanno, twój list czekał razem z trzystu innymi na odpowiedź. Był to dla mnie trudny okres, brakowało mi czasu dosłownie na jedzenie i spanie.

Obozuję od września na odległej równinie Kenii. Mam nadzieję, że Penny nauczy mnie swoich zwyczajów i odsłoni prawdziwe cechy swojego charakteru w naturalnym dla siebie środowisku. Nikt dotąd nie ośmielił się żyć obok lampartów, aby szukać prawdy o ich życiu. Penny jest na pewno bardzo skomplikowana, ma ogromnie szybkie reakcje, czasem sprzeczne, ale nie płynie to ze złośliwości. Żyje już cztery miesiące 16 km ode mnie, na szczycie grzbietu górskiego. Z obu stron rozciągają się wielkie równiny, u stóp płynie rzeka Krokodyli. Ta rzeka jest granicą rezerwatu. Zawsze wiemy, gdzie Penny przebywa, gdyż nosi z sobą maleńki nadajnik, dzięki któremu możemy ją lokalizować. Codziennie dowozimy jej świeżą wodę i porcję mięsa, chodzimy z nią i bawimy się, zanim się nie zmęczy.

Niedawno był u mnie mój londyński wydawca, aby omówić wydanie mojej autobiografii, wyjdzie ona we wrześniu 1979 roku wraz z towarzyszącym jej filmem..."

To był jeden z ostatnich listów Joy do mnie. A potem gazety podały wiadomość, że nie żyje...

JOANNA HUSARSKA

Zdjęcia i rysunki:
Joy Adamson

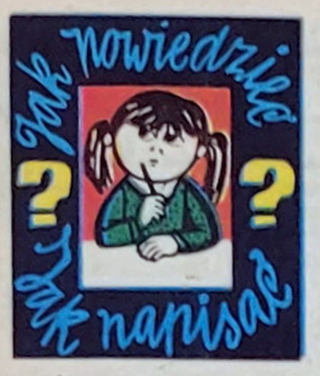

Wczoraj odwiedzili nas znajomi ojca, państwo Pawłowscy. Gdy otworzyłem drzwi, rodzice akurat zajęci byli w kuchni, więc poprosiłem gości do pokoju, mówiąc: proszę, może państwo usiądą. Zastanawiam się, czy dobrze powiedziałem. Dlaczego państwo usiądą, a nie: usiądzie? Przecież wyraz „państwo" jest rodzaju nijakiego i użyłem go w liczbie pojedynczej? Nie przekonuje mnie to, że chodzi tu o dwoje ludzi. Na przykład tłum – to też nie jeden człowiek, lecz wielu, a mówimy: tłum przeszedł ulicami.

Tomasz Podgórski

Zaczniemy od staropolszczyzny, w której możliwe były takie oboczności, jak: **szlachta idzie (idą), rycerstwo przyjechało (przyjechali)**. Dzisiaj przy tych wyrazach stawiamy już tylko orzeczenie w liczbie pojedynczej, chociaż chodzi o wiele osób. Tak właśnie będzie z przytoczonym przez Ciebie tłumem (**tłum ruszył**), z załogą (**załoga postanowiła**), z ludnością (**ludność głosowała**), ze zbiegowiskiem (**zbiegowisko się rozeszło**). Pozostałością staropolskiego zwyczaju językowego są jednak związki składniowe rzeczowników oznaczających **pary osób.** I dlatego właśnie mówimy: **państwo przyszli, wujostwo nas odwiedzili, hrabiostwo odjechali** (oj, w siną dal, ale przykład jest przykładem). I tylko tak jest poprawnie, choć jeszcze w pierwszej połowie naszego wieku nie popełniał błędu, kto mówił: „wujostwo nas odwiedziło".

A teraz zróbmy sobie małą powtórkę. Mówimy: **szanowni państwo,** nie: szanowne państwo;

ci państwo przyszli, nie: to państwo przyszło;

państwo są zmęczeni, nie: państwo jest zmęczone.

Na weselu całujemy się, składając życzenia, **z państwem młodymi,** a nie: z państwem młodym. Po wizycie rozmawiamy **o znajomych, państwu** Kowalskich, nie: o państwie Kowalskich. Byli u nas **oboje państwo** Kowalscy. Ojciec rozmawiał **z obojgiem państwa** Kowalskich.

Jest jeszcze jeden problem. Jak pytać: **pozwolą państwo, że zamknę okno** czy **pozwolicie państwo, że...? Byli już państwo na tym filmie** czy **byliście już państwo...?** Można i tak, i tak, z tym, że sposób drugi (**pozwolicie, byliście państwo**) jest jakby nieco mniej uprzejmy, a na pewno wyda się zbyt poufały, gdy zwrócicie się tak do osób dużo od Was starszych.

Wasza **KROPKA**

Ewa Prądzyńska narysowała ten mój portret w roli Amorka, który jak zwykle odleciał na zimę do ciepłych krajów.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Często bywa ostatnio, że warczymy na siebie, kopiemy sobie dołki, jesteśmy na noże, albo po prostu cały świat wydaje się nam wrogi. Taka zaczepno-odporna atmosfera i denerwuje i nudzi zarazem. Mam pomysł! W Rzepklubie zakładam Sekcję Optymistów. Ci, co mają już dosyć wojny domowej, szkolnej i podwórkowej niech do mnie napiszą.

Piszcie o tych, którzy Wam sprzyjają i pomagają, o zgranych klasach, drużynach, paczkach itp. Ogłaszam też konkurs na odznakę naszej sekcji. Czekam na Wasze listy!

ANEGDOTKI

– W moim zawodzie nie można być pewnym dnia ani godziny!
– Czy jest pan saperem?
– Nie! Meteorologiem.

★

W Bieszczadach:
– Czy to prawda, baco, że czarne owce zjadają mniej trawy niż białe?
– Prowda.
– A dlaczego?
– No bo, widzicie, tych cornych jest mało, a biołych duzo...

★

Na ulicy:
– Cześć, stary! Jak się masz, co robi żona, dokąd idziesz, która godzina, czytałeś „Przegląd", jak grał „Ruch"???
– Serwus! Dobrze, pierze, do domu, pół do ósmej, czytałem, 3:1!!!

Do zobaczenia!
Wasz Rzep

Poradnik narciarski:
JEŚLI ODCZUWASZ LĘK PRZESTRZENI...

RZEPKLUB

Wpisuję dziś na moją listę klubową Anitę Sobczyk. Z jej kolekcji pochodzą zamieszczone poniżej żarty rysunkowe.

— Czy potrzebujemy pieniędzy Joanno?

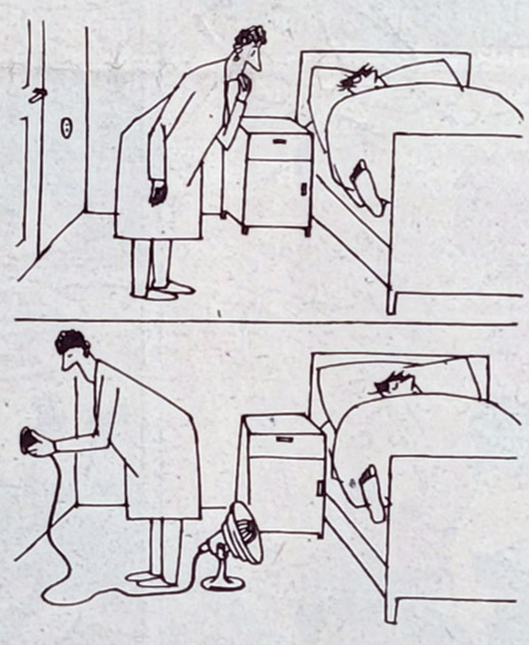

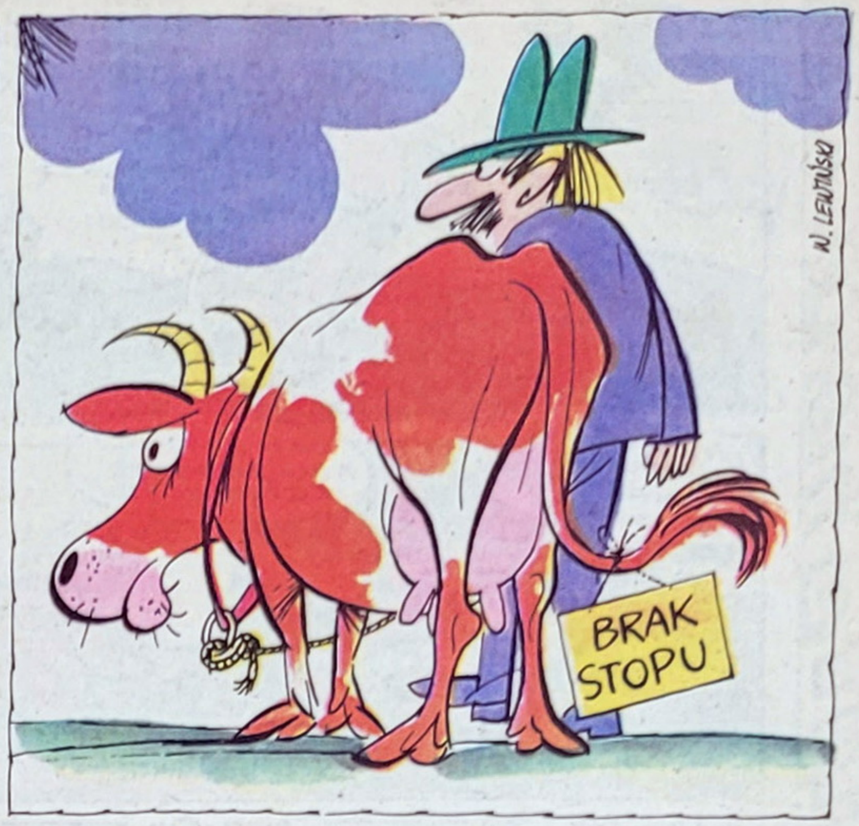

zaczęły płynąć łzy i wściekłym, bezradnym głosem powiedziałaś: – Dlaczego mnie o to wszystko pytasz? – usiadłaś na brzegu krzesła i zasłoniłaś rękami oczy.

Pamiętasz? Podbiegłam do Ciebie. Zawisłam Ci na szyi tak, że o mało nie udusiłam. Wiesz za co? Za to, że byłaś prawdziwa, wspaniała i moja. Gdy tak płakałaś – myślę, że nie weźmiesz mi tego za złe – byłam najszczęśliwszym dzieckiem na świecie. Pierwszy raz nie ukrywałaś przede mną łez i nie mówiłaś „nie rozumiesz". To było najważniejsze. Uwierzyłaś, że zrozumiem, że dorosłam już do wielkich prawd. Może nawet uwierzyłaś, że potrafię Ci pomóc. I to było cudowne. Zrozumiałaś, że jestem dorosła nie tylko dlatego, że można mi ufać, ale że jestem dorosła tak jak Ty, prawdziwa, czyli mam prawo do zmęczenia, lęku przed życiem, zrozumienia. Nie miałam już żadnych oporów, żeby zapytać:

– Ktoś Cię niedawno odwiózł do domu. Jakiś mężczyzna. Czy to może ważna sprawa?

– Tak, trochę ważna – powiedziałaś zapłakana jak małe dziecko i jak dziecko oparłaś głowę na moich ramionach.

– To dlaczego nie spotykacie się w niedzielę? – zapytałam, żebyś nie myślała, że jestem zazdrosna i że mam Ci za złe.

– Bo to nie jest sprawa ważniejsza od ciebie – odpowiedziałaś bez zastanowienia.

Pocałowałam Cię w policzek. Po raz pierwszy od wielu miesięcy. Lekko i niezgrabnie. Gorzej niż gdy pierwszy raz całowałam się z Olkiem. Nie potrafiłam, po prostu nie potrafiłam. A Ty nie wiedziałaś za to, jak zarzuca się ręce na szyję? I gdy to zrobiłaś i przyciągnęłaś moją twarz do swojej, i z tak bardzo bliska spojrzałaś w oczy, a potem serdecznie ucałowałaś, wyszło tak samo niezgrabnie. Tak jak coś, co robi się pierwszy raz w życiu.

Gdy wyszłam z Twojego pokoju, ciotki Eli już nie było. Pewnie się obraziła i poszła do domu.

Nie było także Marianny. Ale Marianna zostawiła kartkę: „Nie czekam. Przyjdź wieczorem. Koniecznie."

W tamten poniedziałek załatwiłam jeszcze jedną sprawę. Klatka, drewniane, wąskie schody i drzwi, które wiele razy otwierały się przede mną tak gościnnie. Nacisnęłam dzwonek i usłyszałam dobrze znajome kroki Żylińskiej.

Nie zdziwiła się moim przyjściem. Przywitała mnie z uśmiechem, tak jak zawsze.

– Zdejmij płaszcz – usiądź.
– Nie, dziękuję. Ja tylko chciałam wyjaśnić do końca...
– Daj spokój, u mnie możesz odpocząć od tego tematu – przerwała mi w połowie zdania. – Nie chcę słyszeć żadnych wyjaśnień, naprawdę.

– Ale ja muszę pani powiedzieć. Chcę panią przekonać...
– Daj spokój, Małgosiu – przerwała znowu, ale ja nie zwracałam na to uwagi i mówiłam dalej to, co powinnam była. Mówiłyśmy równocześnie i coraz głośniej.

– Nie jestem ani lepsza, ani inna niż pozostali ludzie w moim wieku. Jestem przeciętna i byle co, najbłahsze niepowodzenie, wytrąca mnie z równowagi...

– Małgosiu, to niepotrzebne, zupełnie nie...
– Nie jestem mocnym człowiekiem...
– Nieprawda!
– Nie jestem i nigdy nie będę taka jak Kaśka, Jadwiśka, czy Renata...

Widziałam, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Na miejsce uśmiechu przyszedł smutek i rozczarowanie. Coś się w jej twarzy zamknęło. Jakby zapadło. Zabolało ją może, że powiedziałam głośno o tym, co ona kryła bardzo, bardzo głęboko. Było mi przykro, że powiedziałam, a z drugiej strony chciałam, żeby wiedziała, że ja to czuję. Czuję, że wyznaczyła mi jakąś rolę w swoim scenariuszu życia, że jej zachowanie wobec mnie miało jakiś cel i trudno ocenić, czy realizacja tego celu była bardziej potrzebna mnie czy jej. Wymyśliła mnie. Wymyśliła wzór człowieka, którym miałam się stać. I chociaż ten wzór był pozytywny i pozytywne były jej intencje, nie chciałam być aktorem grającym życie według cudzego pomysłu. W tym momencie doceniłam Ciebie. Powtarzałaś od czasu do czasu, że trzeba mieć sprecyzowany cel i ciągle do niego dążyć. Uporem, pracowitością. Ale byłaś żywym przykładem tego, o czym mówiłaś. Zrobiłaś dwie aplikantury, osiągnęłaś stanowisko radcy prawnego w dużym przedsiębiorstwie i ciągle siedziałaś w książkach i w papierach, i kiedyś powiedziałaś, że musisz się jeszcze mnóstwa rzeczy nauczyć. Opowiadałaś się za życiem skoncentrowanym, zgęszczonym w jednym tylko ze swoich strumieni. Powtarzałaś za kimś, że dla statku, który nie ma portu przeznaczenia, żaden wiatr nie jest sprzyjający. Mówiłaś to i wymagałaś tego od siebie.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 384/G

O-68

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Około 2000 roku będziemy świadkami zasadniczych zmian w naszym życiu i pracy, na razie prowadzi nas w wiek XXI ...szklana nitka.
- Cud wcielony w stereofonię, głosy sprzed wieku. Wywoływanie duchów, które nie jest odwołaniem się do tajemnej wiedzy.
- Namiotowy supeł już teraz warto rozwiązać, bo gdy przyjdzie lato – może być za późno.
- Wojciech Trzciński opowiada o swojej pracy, o nagraniach. Szczegóły w „Świecie Muzyki".

— Dobrze – zaciągnęłaś się papierosem. – To nieprawda, że ojciec cię nie chciał. To ja cię nie chciałam.

Zacisnęłam zęby, a Ty odwróciłaś się i ruszyłaś w stronę drzwi. I cały czas już mówiłaś chodząc:

– Nie dlatego, żebyś mi była niepotrzebna. Nie tak. Po prostu w rodzinie ojca pojawia się czasem taka choroba. Mogłaś się urodzić nienormalna. Cały czas wierzył, że będziesz zdrowym dzieckiem. Ja przez całe dziewięć miesięcy miałam wątpliwości, a on ani przez chwilę. Bardzo często chodziliśmy do lekarza, to zrozumiałe. I były rozmowy o usunięciu ciąży, to też chyba zrozumiałe. Stąd się zresztą wzięły w mieście plotki. Myśmy nigdy nic nie prostowali. Z nimi się o tym nie mówiło. To było tylko... – przerwałaś, jak gdybyś zlękła się jakiegoś wspomnienia. – Ale nieprawda, że on cię nie chciał – dokończyłaś już bardzo rzeczowo.

– A dlaczego się rozeszliście?

– Z tego powodu, co inni. Uczucie jest, potem mija, zjawia się ktoś inny... Niektórzy w takim stanie wytrzymują całe życie. My wytrzymaliśmy kilka lat. Ojciec bardzo się zresztą wahał... – zatrzymałaś się przy stole, strzepnęłaś popiół i zauważyłam, że Twoje ręce drżą. – On cię bardzo kocha...

– Ależ Mamo! Mamo, co ty opowiadasz? Jak on może mnie kochać? Spotyka się ze mną raz na pół roku, nigdy nie zaprosił na wakacje...

– Gosiu – odetchnęłaś głęboko – Gosiu, to chyba nie tak. On ma teraz drugą żonę... – jeśli Ci się wydaje, że było wtedy w Twoim głosie choćby deko przekonania, to jesteś w błędzie. I dlatego nie mogłaś mnie przekonać. Wiedziałam, że to się nazywa lojalność. Byłaś wobec ojca lojalna, broniłaś jeszcze jakiejś wyimaginowanej wspólnoty między wami, tylko nie rozumiem po co. Ale ja już nie miałam sił grać dalej, więc wysupłując ze swego głosu najbardziej miękkie i ludzkie dźwięki poprosiłam: – Powiedz mi Mamo, prawdę. Nie udawaj, powiedz, jak było naprawdę?

– Tak, jak ci mówiłam.

– A mnie się zdaje, że wy nie kochaliście się nigdy.

– Nie pamiętam – odpowiedziałaś cicho i przemknął Ci przez twarz ten niedostrzegalny skurcz niepewności.

Kłamałaś. Oczywiście, kłamałaś, bo jak można nie pamiętać, czy się kogoś kochało, czy nie. Na pewno nie chciałaś mi zrobić przykrości czy, jak kto woli, nie było Cię stać na powiedzenie całej prawdy. W końcu nie tylko słuchanie – także mówienie o tym, że ktoś miał się nie urodzić, albo że urodził się bez udziału miłości, jest trudne. Jeśli chcesz wiedzieć, co było gorsze dla mnie, to wiedz, że to drugie. Bo gdyby mnie nie było... Czy jest sens w ogóle o tym myśleć? Nie byłoby mnie i koniec. Nie byłoby żadnych problemów, żadnych zdarzeń, nic. A skoro już jestem... Może to głupie, co powiem, ale dzieci ludzi, którzy się nie kochają są nieszczęśliwe. Daję Ci słowo. I przestraszyłam się w trakcie rozmowy z Tobą, że nigdy nie będę szczęśliwa, i chyba wykluł się we mnie jakiś żal. Ale chęć dotarcia do Ciebie, rozbicia tej potwornej, rozdzielającej nas ściany była silniejsza niż cokolwiek.

– Powiedz, błagam Cię, powiedz prawdę. To dla mnie bardzo ważne – wyłkałam prawie, bo byłam przekonana, że teraz albo nigdy. Że zrozumiemy się teraz albo zawsze będziemy dla siebie obce.

Zamiast odpowiedzieć skrzywiłaś się i w pierwszej chwili nie zorientowałam się, że jest to grymas płaczu. Dopiero za chwilę po Twoich policzkach

Dokończenie na str. 7